

Leszek Żuliński

Mefisto

wydawnictwo
adam marszałek

REDAKTOR PROWADZĄCY:
Edyta Peszyńska

REDAKTOR TECHNICZNY:
Sławomir Orkiszewski

KOREKTA:
Justyna Brylewska

PROJEKT OKŁADKI:
Krzysztof Galus

© Copyright by Wydawnictwo Adam Marszałek

© Copyright by Leszek Żuliński

Toruń 2011

ISBN 978-83-7611-943-4

Wydawnictwo prowadzi sprzedaż wysyłkową
tel./fax 56 648 50 70, e-mail: marketing@marszalek.com.pl

Wydawnictwo Adam Marszałek ul. Lubicka 44, 87-100 Toruń,
tel. 56 660 81 60, e-mail: info@marszalek.com.pl,
Drukarnia nr 2, ul. Warszawska 52, 87-148 Łysomice, tel. 56 678 34 78

Bazyliszek

najstraszliwsza w dzieciństwie
była dla mnie bajka o Bazyliisku

do dziś boję się spojrzeć w lustro

Piekto

ładnie się tutaj urządziłeś, Mefisiu,
meble wyściełane ludzką skórą, witraże,
w których każde szkiełko statystowało
w samobójstwach słabych i zaszczutych,
obrazy kaźni, pożogi, wojen,
piec krematoryjny zamiast kominka,
gilotynka do dekapitacji cygar, jaka ładna,
chyba ze złota?
dywan utkany w Auschwitz z ludzkich włosów,
trofea z kolejnych krucjat, bibeloty z izb tortur,
w szklanych słojach relikwie wyrwane z ciał słynnych
abnegatów, sadystów, zwyrodnialców,
w tym cymelia: pióro markiza de Sade, nożyk do owoców
Robespierre'a, mapa Kołomy z 1936 roku

(najbardziej wzruszył mnie pukiel włosów Maty Hari)

nad twoim biurkiem godło sępa i portrety
Hitlera, Stalina, Pol Pota (dlaczego akurat ich? mówią,
że pasjonuje cię historia współczesna...)

tylko ta biblioteka... same cyrografy, traktaty
eschatologiczne,
ostatnie listy samobójców, kwity, kwity, kwity...

ale ładnie tu u ciebie, ładnie

nie mam już gdzie mieszkać, może tutaj, kątem?
będziemy prowadzić dysputy o wyższości Dobra nad
Złem,

to zawsze cię bawiło, a śmiech nawet w piekle
nie jest zakazany, no, powiedzmy rehot

Tyczka

Sam diabeł piekła nie czyni
(Jerzy Leszczyński)

Mefisto... ach, cóż on by bez nas zrobił?

Piekło byłoby wypalone jak piasek pustyni;
stałaby po nim poparzonymi stopami,
śmiertelnie by się nudził, prędzej czy później
bezsens istnienia eksplodowałby w próżni
jego serca

kilka pięter wyżej to samo uczyniłby Bóg

osierocony przez diabła
znalazłby się w jeszcze gorszej sytuacji,
stałby się niedefiniowalny, zbędny
niczym robotnik w upadłej fabryce

a my?

my bylibyśmy zwierzętami; ewolucja
jest jak fasola: między Piekłem a Niebem musi być tyczka,
po której się pnąc; jak drabina, po której się wchodzi

a nie byłoby dokąd

Rozmowa Jezusa z Judaszem

nie byłeś czarną owcą,
wszystko zwalili na ciebie – rejteradę umysłów,
zagubienie serc, popłoch własnych twarzy
w odbiciu chmur

przecież nie byłeś sam, nie wydałeś wyroku,
nie umyłeś rąk; wziąłeś winę na siebie,
nie kierowałeś się racją stanu, wyższością,
pychą ani siłą

jednak nie potrafiłeś wybrać drogi, na rozstaju
dostałeś pomieszania woli, poszedłeś za głosem
złego wabienia, ludziłeś się, że złoty cielec,
a choćby nawet i srebrny są warte
grzechu

tego egzaminu nie zdaje większość,
jedni o tym nie wiedzą, inni się nie przyznają,
są i tacy, którzy zasłaniają się tobą,
pokazują cię palcem jako dowód
swojej wyższości

to oni zstępują w piekło pychy,
podnoszą nowy miecz, rzucają kamieniem

a przecież twoje szaleństwo było potrzebne
jak jabłko z zakazanego drzewa

wybaczam ci; na innych nie licz,
zresztą i po co – w gruzach ległby ład,
który z takim bólem obaj ustanowiliśmy,
zaś świat bez antypodów pogrążyłby się
w chaosie jak chmara ptaków,
które straciły drogę

Judasz

dwa razy nie wytrzymał presji wahań,
po raz pierwszy, gdy pobiegł do Sanhedrynu,
po raz drugi, kiedy nie umiał zapanować nad sumieniem

nie wiedział, czy jego zdrada zostanie wybaczona,
a może wymierzył sobie karę, uciekając przed karą?

chyba jednak nie był tchórzem, raczej nadwrażliwcem,
jakich pełno wokół

żał mi go; wiem, że nie mógł udźwignąć tego ciężaru,
wił się w matni uczuć, których nie umiał
poskładać w żaden logiczny morał

jest nas teraz wielu; minęły stulecia, a wciąż nie wiemy,
jak byśmy postąpili na jego miejscu; ci, którym się zdaje,
że wiedzą, to zwykli głupcy; rzeka Meander aż kipi,
żeby ich pochłonać

Srebrniki

za trzydzieści srebrników
można było w antycznej Judei postawić
trzy małe domy, z czasem opłacić
czterodniową pracę zwykłego robotnika

wszystko się dewaluuje

przybyło specjalistów chętnych za tę sumę
zrobić niejedno bez zmruczenia oka

głupcy!, kasy się na tym nie zbije,
a ręce pobrudzi

Nolens volens

chcąc nie chcąc, pół na pół, jako tako,
tak czy siak, mimo wszystko, być może...
i jakoś to będzie...

przysłowia mądrością narodów,
powiedzonka głupotą narowów

bądź czujny,
nie daj się zagonić w kozi róg języka,
zapłatać w lekkie słówka,
za którymi czają się ciężkie konsekwencje,
w zbywanie spraw ważkich i zasadniczych
werbalnym unikiem i niefrasobliwością

pod mchem frazeologii
kryją się głębokie doły i wnyki,
pierwszy krąg Piekła; nawet nie zauważysz,
kiedy podpiszesz cyrograf
nolens volens

Mech

Beacie P. Klary

rozmawialiśmy o *mchu frazeologii*

że grafomański

tak, może lepsza byłaby *piana, patyna, nalot, porost, folia, samum* lub *kra*; metafora oparta na absurdzie, paradoksie, a nie na dopełniaczu

ale mech porasta mnie już wszędzie
i dochodzi do języka; na jego powierzchni
szukam nowych słów, ale znajduję tylko
stare desygnaty, wytarte ślady życia

w kółko chodzę tym tropem; z każdym krokiem
mech wspina się po mnie jak bluszcz,
zatyka usta, słowa owija w bibułkę stęchlizny,
zaczynam mówić frazesami, nic nowego już mnie
nie dotyczy...

Postać tragiczna

jest jedną z nas

mijamy ją w tłumie,
przysiadamy się do niej w pociągu
lub tramwaju, na ławce w parku,
gdziekolwiek

nie zwracamy na nią uwagi

ale gdy się przyjrzeć – łatwo ją rozpoznać,
jest podobna do Antygony, Elektry, Edypa,
owiewa ją daleki zefir antyku,
twarz ma mroczną jak bitumity
nad Morzem Martwym,

nieruchomą, zastygłą,
z pustymi oczami,
w kącikach ust – piołun

nasze proste ścieżki życia
są dla niej labiryntem

stoi w miejscu, nie szuka światła,
czasami pyta się Wyroczeni:
dlaczego ja?

Trakt, czyli ulica

podpieram się w tych wierszach
antykiem i mitem, żeby uciec od trywialności;
wielcy zbrodniarze (Kain, Herod, Makbet i inni)
są naznaczeni stygmatem Losu; patrzymy na nich z odrazą,
ale i z podziwem, ich Zło wpisało się w Matrycę,
jedni nie wytrzymali (jak Judasz), inni zwariowali (jak król
Eryk),
a jednak ich zbrodnia uczyła Dobra i stała się podporą
ładu
i sprawiedliwości

nie dorastam im do pięt; chcę się tylko ogrzać
w ich ciepłe, stanąć na koturnach, mieć nikłą nadzieję,
że też się na coś przydam – jak czerwone światło
na zwykłym skrzyżowaniu

Zdrajcy

jest nas wielu,
zdradzamy żony,
przyjaciół, ideały,
zdradzamy siebie

gramy rolę, wierząc,
że nas nie wyrolują

tylko niewierność
jest nam wierna

jak pies

dobrze traktowana
ugryzie tylko w chwilach
zagrożenia

potem znów się łąsi

Jest nas dwóch

Mister Hyde już siwiuteńki,
przygarbiony, ledwo ciągnie noga za nogą,
nic nie pamięta, mylą mu się nazwiska, fakty,
jego czaszka pęka i wypuszcza z siebie sine maszkarony,
które hulają głuchym echem po Stonehenge
lub zastygają na kamiennej ścianie Notre-Dame

Doktor Jekyll przechadza się we wnętrzu katedry,
próbując delektować się bliskością Boga,
patrzy w zapierające dech w piersiach witraże
i każdą smuzkę słońca wita niczym obietnicę
ładu i nadziei – ale i on po chwili traci wątek,
zapomina, gdzie jest, jak się nazywa,
po co to wszystko...

kiedy znów się spotkają, miną się obojętnie,
tak, jak mijali się zawsze, choć niewykłuczone,
że nadal jest nas jeden...

Boję się wyjść z domu

w zatłoczonym kanionie ulicy
mogę spotkać kogoś, kogo linie papilarne
przekazałem ci, Mefisiu,
na bibułce własnej duszy

to już się zdarzało,
zazwyczaj brali mnie w ramiona
i mówili: nic to, rozumiemy,
że byłeś w matni

najgorsi są ci,
którym nie wyrządziłem krzywdy;
oni wydają wyroki bezapelacyjne

stają w obronie czystości i zasady,
są nieskazitelni i nieustępliwi

w kanionie ulicy nie ma dokąd uciekać,
na jego końcu mającą
i sznur, i gałąź pod ciężarem zgięta

Wybrani, naznaczeni

Krystynie Wulert

czy musiało tak być?
czy musiało się zdarzyć?

Zło istnieje ponad, jest warunkiem Całości,
trybem maszyny, cegłą w murze, belką u sklepienia,
pierwiastkiem Istoty, ingrediencją Sensu

wybieramy je, czy ono nas
naznacza do swojej posługi?

wolne etaty w Piekło obsadzane są
z łapanek; Mefisju ma tę sztuczkę
opanowaną do perfekcji, w końcu ktoś musi
odwalać czarną robotę

na szczęście nie na próżno

Dobro wymaga odpowiedniej scenarii
i kontrastu, jego białe dłonie są
zachwycająco piękne na czarnym tle

więc może warto pogodzić się z Losem,
może nasza ofiara jest nienadaremna
i obrócić się w ziarno?

Hydra

przychodzi zazwyczaj nocą,
kładzie mi się na piersi i udaje
pędzący pociąg towarowy,
spod jej szyn sypią się iskry
i wyskakują rdzawe kamienie,
potem, jak to miał zwyczaj czynić
Mefisto, zamienia się w psa,
wizg stalowych kół miesza się
z ujadaniem; nocne koszmary Goi
są przy tym banalnym widoczkiem
bezsenności

Radovan Karadžić

był poetą,
pisał wiersze, których wprawdzie nie czytałem,
ale wyobrażam sobie, że snuły się w nich
błękitne mgły otulające nad ranem ciemnozielone
wzgórza Serbii i bałkański spleen
nawiewany przez rozpyloną bryzę Adriatyku,
smutek historii i mentalną urodę tamtejszego ludu

pewnego dnia jego pióro zaczęło strzelać
kleksami stali i ołowiu, ciemne liszaje pokryły
wzgórza Serbii, z rozpadlin ziemi dochodził fetor i ogień,
w którym wygrzewały się węże

dręczą mnie pytania, czy poeta Karadžić nadal pisze
wiersze

i czy w ogóle je pisał?
jeśli tak, to wszystko jest możliwe, a szczególnie
bratobójcza wojna Dobra i Zła, nieustająca w historii,
nieustająca w człowieku

Pomyłka Lady Macbeth

Precz, przekłeta plamo! precz! Mówię...
(William Shakespeare)

nie wiedziała, że krew jest zmywalna
(wtedy jeszcze nie znano wody utlenionej
ani wywabiaczy płam, których dziś pełno w sklepach),
rwała włosy z głowy, walczyła z upiorem Sumienia,
zabił ją obłąd

ręce trzeba myć codziennie, wielokrotnie,
pielęgnować, obcinać krótko paznokcie,
wklepywać w nie kremy, które wygładzą
wszystko

wtedy obłąd będzie czysty,
pozbawiony *snów*
śnionych nieprzytomnie

Cynizm

ma smak metalu, rozpuszcza się w ustach
i wypływa rdzą

nie gańmy go jednak – jest obroną
przed wichrami duszy; zmienia je
w banalny wiaterek, unieważnia,
buduje dystans

pozostaje rdza, z którą nie umiemy
sobie poradzić

to nasza dusza,
w której tyka zegarowy niewypał
prawdy

Prawda

ach, ileż ona narobiła szkód!

jej sens jest oczywisty, ale czasami lepiej,
gdy w czapce niewidce rozmawia z lustrem,
przemyka chyłkiem po zaułkach nocy,
zakłada maski i zatrzaskuje swoje drzwi
od wewnątrz, rozlicza się w Sumieniu
i na parapet dnia wystawia
doniczkę z kłamstwem

kłamstwo to maść na szczura prawdy,
makijaż, który wygładza zmarszczkę,
lek gojący ranę lub przeciwsłoneczne okulary,
dzięki którym nie razi nas bolesna
jasność słów i uczynków

zastanów się nad istotą
niezadawania bólu; niezadawanie ran
może okazać się ważniejsze od prawdy

ale wywlecz ją na rynek Sumienia,
postaw pod pręgierz,
niech sama sobie spojrzy w oczy

Wina

w winnicach Toskanii czy Badonii
dojrzewa wino, bierze w siebie słońce
i nabrzmiwa słodyczą

w winnicach życia
dojrzewa wina – gorzka i cierpka,
kwaśna

przedostaje się do krwi, płynie gęstą juchą
pod górę, pochłania każdy promyk słońca
i topi go w ciemności

w wytłoczynach gnieźdzą się zmory
i toksyny; węże taplają się w tym błocie,
Erynie plotą włosy,
które syczą...

Sumienie

jest jak kotka,
która mruczy z rozkoszy,
gdy głaskać ją i szeptać do ucha
baśnie o pięknej piwnicy

ale nie można schodzić zbyt daleko,
w głąb,
wtedy rzuci się z pazurami,
a nawet prychnie w twarz

Los

Zbyszek Jerzyna napisał:
za dużo było losu
w moim życiu

tak, ten przeklęty Los,
który wszystko przesądza

a chciałoby się na chybił trafił,
ruletka szczęścia, wieczne bingo,
z otwartej paszczy automatu
leje się strumień wieczności
i błękitu

ale czarne zawsze wygrywa...

Los na loterii życia ma odwłok skorpiona,
pod jego opończą grzechoczą grzechotniki
i śmiech podzwania pękiem kluczy, z których każdy
zamyka za mną
drzwi

Pan Cogito

siedziałem na dębowej ławie
w berlińskiej Gemäldegalerie
z Panem Cogito, patrzyliśmy
na olej Boscha

Piekło nas dotykało

– czuje pan swąd? – zapytałem,
– od pana – odpowiedział

wstał, oddalił się, przepadł mi
w amfiladzie życia

szczęśliwi prości i prostolinijni;
ja siedzę tam dalej i nie wiem,
którędy do wyjścia

Naucz się wiązać pętle

to wielka sztuka, która może się przydać;
pętla powinna przepuszczać sznur,
jakby była naoliwiona lub wyposażona w łożysko,
powinna czule obejmować linę i nie krępować jej
swobody

pętla jest jak kropka pod wykrzyknikiem
albo jak otwór głębokiej studni,
z której możesz po raz ostatni spojrzeć w niebo

powinna być zawzięta jak buldog; gdy się zaciśnie,
to nie popuści

wiązania pętli możesz nauczyć się
na kursie żeglarskim

gdy będą pytać, po co ci ta sztuka,
odpowiadaj, że nie ma co liczyć
na pomyślny wiatry

Morze Martwe

Morze Asfaltowe,
Morze Cuchnące,
Morze Diabelskie,
Morze Lota,
Morze Słone,
Morze Sodomy
– w nim płotka mego losu
do góry brzuchem

Szlam

nie, nie chcę się oczyszczać,
byłoby mi z tym brudno

a jednak zazdroszczę tym,
którym udało się przejść przez życie
w lśniących butach

którym nie drżą ręce, gdy na nie patrzą,
nie śnią się sny, które budzą krzykiem,
w gardle nie zasycha śmiech,
mogą ze spokojem wiązać krawaty,
nie myśląc o pętli

banalne pytanie *jak żyć?*
nie przychodzi im do głowy;
po prostu patrzą za siebie – i widzą

ja też patrzę, też widzę,
ale zrywa się wiatr,
który omija żagle
i zostawia mnie na mieliźnie
szlamu

Paplarium

waż słowa

niektóre z nich obracaj w ustach wielokrotnie,
aż wyszlifujesz ich zadry i kanty

inne wystrzel jak z automatu,
bo jeśli mają ranić – niech ranią

przede wszystkim strzeż się słów krzywdzących,
tych, które zadają rany niewinnym i cichym,
które skazują tych, co mówią prawdę,
na banicję i szykany,
zamykają ich w więzieniach cudzej racji
i torturują zemstą

w swoim bezmyślnym paplarium
nie paplaj; nocą, w ciszy, oglądaj Nieboskłon Sensu,
ustalaj jego blask,
nie ściemniaj

Tabu

tłucze się w nas jak w klatce,
zamknięte w celi umysłu, przykute
łańcuchami, mocno trzymane na uwięzi

kiedy otwieramy usta, nie wychyla się,
udaje, że nie istnieje; więźnie w gardle
i nie domaga się wysłownia

nocami wypełza na źer; pod osłoną ciemności
dołączamy do niego, wchodzimy do plemiennej
wspólnoty naszych wyklętych wiosek,
uprawiamy rytuał, walimy w zakazane tam-tamy,
tańczymy wokół świętego ogniska

w świetle dnia powracamy do powszechnej reguły;
jeśli jeszcze pachniemy dymem lub zdradza nas
ryt na przedramieniu albo totem nie zdjęty z szyi,

biada nam!

Spokój z duszą

W zgiełku i pomieszaniu życia zachowaj spokój ze swoją duszą...
(Max Ehrmann, *Dezyderata*)

tylko jak?
jak zachować spokój z duszą?

dusza jest mną, tyle że odziana w ubranko ciała,
w czapkę głowy, marynarkę tułowia, rękawy rąk,
nogawki nóg

ona na ogół jest spokojna i nie ma żadnych potrzeb,
żyje sama dla siebie, jest śmiertelna, umiera zazwyczaj
z zimna, gdy opadnie z niej ciało

niewykluczone, że jest wieczna,
ale na to brak namacalnych dowodów

sercem duszy jest Sumienie

to ono maltretuje nas, ruga, zadaje
trudne pytania, szuka dziury w całym,
tupie nogami, gdy niezadowolone

tak, uciszyć Sumienie, to byłby jedyny sposób
na zachowanie spokoju z duszą

ale udaje się to tylko nielicznym,
a i na to brak namacalnych dowodów

Próżnia

Próżnia jest kołyską olbrzymia
(Cyprian K. Norwid)

zawsze marzyłem o Próżni,
spacerowałbym po niej z założonymi
do tyłu rękami, czytałbym klasyków, obmyślał
jej umeblowanie, tu półka z Safoną,
tam z Horacym, za oknem wiosenny pejzaż, na ścianach
kilku abstrakcjonistów, żeby studiować
czystą formę

żadnego jazgotu świata, targowiska racji,
zgiełku uczynków zostawiających po sobie
ślady krwi lub plamy na Sumieniu

w sterylnym otoczeniu miałbym czyste ręce
i serce pełne łagodnej poświaty

krokami odmierzałbym czystość, wieczność,
oczywistość

spalbym w kołysce
i śnił, że wyrosnę na
Człowieka

Rozmowa z synem

idzie do ciebie z drugiego końca domu,
lewą ręką wlecze za sobą misia,
w prawej trzyma plastikowy karabin maszynowy
gotowy do strzału

nadchodzi,
zbliża się całymi latami,
jego sylwetka rośnie w oczach,
mężnieje

w końcu staje przed tobą,
ze zdziwieniem stwierdzasz,
że nie ma już loków, jest wyższy od ciebie o głowę,
w jego prawej dłoni dyndają kluczyki od samochodu

wyrwij mu te kluczyki,
przystaw do swojej skroni
i pociągnij za spust

to będzie łatwiejsze niż rozmowa z synem,
po której umierałbyś na raty,
zaplątany we własne słowa,
zakuty w grymas jego pogardy

Rzeka Styks

1 listopada 2010 roku szedłem na grób ojca

tuż za bramą porwała mnie rzeka ludzi,
płynęła szeroką ławą w głąb nekropolii,
falowała jak ospały, leniwy nurt Amazonki lub Donu
albo posuwała się z wolna jak lawa
schodząca z wulkanu i zastygająca
w jesiennym chłodzie

cmentarz wchłaniał nas w siebie donikąd
i zamykał za sobą bramę;
dryfowałem bezwładnie wmieszany w ławicę
pokoleń idących tą drogą przez wyboje czasu

po obu stronach nurtu podnosiły głowę
czarne granity i zatrząskiwały się za nami
w ospałym, zawziętym milczeniu

teraz budzę się nad tym wierszem
i pytam, po której stronie jestem

przecież płyniemy tam stale;
za plecami gasną płomyki świata,
wosk zalewa nam usta,
spiż stawia literę Omega
i zachodzi matową zaćmą
pamięci

Brama

prędzej czy później napotkasz ją na drodze;
nie zatrzymuj się, przejdź

wcześniej jednak opróżnij kieszenie,
wyzbądź się wszystkiego, co zbędnie gromadziłeś przez
lata,

stań przed samym sobą nagi i drżący,
ufaj w jasność przestrzeni i w świat,
który będzie po tobie;
zatrzymaj tylko książki, te, które wzbudzały
wicher twojej duszy, wywoływały drżenie serca
i zaciskały gardło grudą poruszenia,
możesz także wziąć mały kamyczek, topaz
twojej nadziei, która wiecznie gasła

przejdź!

po drugiej stronie Bramy zostanie hałas świata;
w zasięgu ręki ideały młodości, słowa,
których nie udało ci się wymówić, czyny,
których lekkomyślnie nie uczyniłeś, wierność,
której zadawałeś rany, zaniechania i występki,
które były dżumą twojego Sumienia

przejdź jak inni
i jak inni wstań.

Koniec świata

świat się skończy, gdy spłonie
ostatnia biblioteka

papier skwierczy w ogniu
jak skóra, na której zapisany jest
kod tożsamości

jak strzecha – gdy się wali nocą,
ciemność schodzi do dna

tam rozpada się muszla alfabetu,
litery pozbawione Alfy i Omegi stają się nieme
i nie umieją ułożyć się w Sens

w bibliotece spłonie świat,
wszystkie zapisane fakty i mity,
ścieżki i trakty; busole katalogów
wariują, piach nicości wdziera się w usta,
białe szkielety stukają o siebie głucho
poruszane wiatrem zastygłego czasu

ten wiatr zamyka stronicę ksiąg,
z nimi Historię, której może nigdy
nie było

a jeśli była, to tylko na niby, na chwilę,
na próżno

nadaremnie wpatrywaliśmy się w przesłania ksiąg
i zapelnialiśmy je własnymi literami; z głębin
majające na ładzie biblioteki wyglądają
jak ruiny Azteków, w których od dawna
nikt nie mieszka

na dnie najgłębszego dna pozostaną może tylko runy,
ale nie będzie nikogo, kto je potrafi odczytać

Sztuka

od zawsze spacerowałem po jej ogrodach,
głowę trzymałem w błękitach i mrokach Tintoretta,
usta rzeźwiłem w studni Artemidy, budziłem się
z krzykiem
w głuchym domu Goi, a palcami usiłowałem dotknąć
ciszy i skupienia, jakie malował Vermeer

nigdy nie zatrzasnęła przede mną drzwi, wabiła oczy,
uszy otwierała nokturnami i wierszami, podróżowałem
z nią po Beskidzie i Nowym Jorku; nocami śniły mi się
jasne brzaski dnia i przypyływ morz,
które w szumie muszel przekazywały wołanie nieznanego
Głosu;
płynął przeze mnie jak wieczność, która mówi: jestem!;
odpowiadałem: jesteśmy!

ale zawsze, gdy traciłem równowagę na krawędzi
przewracanej kartki lub ostatnie sale muzeów
wyrzucały mnie na ulicę – traciłem tę jasność i wiarę,
oszalała róża wiatrów zrywała z głowy czapkę
przekonań; zbyt często posługiwałem się piórem
jak nożem; język rozdawał się na końcu; połykałem
czereśnie, wypływałem pestki; dotyk sztuki ulatniał się
jak damskie perfumy po miłosnej nocy

teraz mam pot na skroniach, noc bez świtu
podchodzi do oczu i zastyga węglem, w gardle
szorstki pędzel Muncha miesza języki sztuki
z gęstą farbą krwi; wychodzę z ram własnego obrazu
w martwą naturę pustyni

Zbawienie Fausta

to problem, który w esejach literackich,
moralitetach, instytucjach etyki,
rozważaniach teologicznych
wałkowany jest od lat

odpuszczono już dawno Panu Twardowskiemu,
wielkim zdrajcom i despotom; Polański uwiódł młodkę,
ale Mefisiu nie maczał w tym palców, jednym słowem
dylemat
jest trudny, a zdania podzielone

czy Faust zasłużył na zbawienie?

przecież to dobry człowiek, poczciwy starzec,
zapatrzony w młodość i piękno, uwiedziony
ułudą chwili obiecującej wieczność, szukający złota
nie tylko w retortach i menzurach, ale i w błękitnych
cieniach na skórze Małgorzaty, które zatykały mu
dech zachwytem

jednak zapisał duszę diabłu

ale swoją, nie czyjąś

zostawcie go w spokoju,
to sprawa Boga, nie moralistów

ach, jakże bym ja się z nim zamienił
na grzechy

Na niby

czasami myślałem sobie: to wszystko jest na niby

niby co z tego, że przez tysiące lat
wytaczaliśmy w tej ciemności ścieżki i trakty,
drogowskazy, ograniczenia prędkości,
ściśle reguły ruchu życiowego; nawet policjanta,
który z góry grozi nam palcem
i przywołuje do porządku u ołtarza własnego
majestatu

jednak kiedy siedziałem wczoraj z Małgorzatą
nad brzegiem Wisły, nic nie było na niby

rzeka płynęła pod górę, na niej chińskie dżonki
i weneckie gondole; potem słowa tonące w niedocieraniu
do delt, łabędzie, których nie było, mimo to w koszyku ich
skrzydeł

odpływałem w stronę nierzeczywistości; Mefisto
przebrany za Małgorzatę wzywał mnie
do nieopamiętania

więc ten jeden raz udało mi się
być sobą

Prawo

wyciągam prawą rękę pod światło,
widzę płonące rzeczki krwi, poszarpane nerwy,
struchlałe ścięgna, ogniska bezwładu,
dukty bezprawia

*niebo gwiazdziste nade mną,
jednak nie mogę go sięgnąć*

nie mam prawa

wolę lewą rękę,
ona biegnie prostą drogą ku sercu,
kiedy poruszam palcami, pompuję w nie
resztki Sensu

Miłość

*Szalom! Szalom tym wszystkim,
którzy nic złego nie życzą innym*
(Adam Zieliński)

badaj jasność swego wzroku,
serdeczność serca, gościnność ramion
i puls tolerancji; inność innych
jest całym ich światem, osobną planetą,
przeciw której nie musisz wytaczać
gwiazdnych wojen

żyjemy na archipelagach, a twoje słowa
mogą ranić osobną rację

ludzi złych omijaj w milczeniu, martw się
o nich; na wzgórzu Golgota
znajdą się także ich krzyże

jednoczy nas wspólnota krwi, powietrza
i ziemi, jesteśmy stronami tego samego medalu,
żyjemy na archipelagach, na które wyrzuciły nas
te same wody płodowe

w ich mroku szukajmy światła, ono jest,
weźmy je w dłoń – niechaj się otworzą
furty ogrodów, tam szukajmy kodu Natury

i harmonii
w kocie muzyce świata

Feniks

droga do Canossy
bywa wyjściem naiwnym lub nazbyt łatwym;
można dojść tam, skąd się uciekło

próżny gest, perła przed wieprze,
jazgot targowiska, na którym nie kupiłbyś
jabłka, jakie lubisz; szczęk broni,
którą gardzisz

czasami lepiej zostać w sobie,
umyć ręce, zdjęć zmarszczkę z czoła,
otrząsnąć życie z popiołów i zacząć
od nowa

konieczny jest rachunek;
zrób go uczciwie i z podniesioną głową;
kiedy będą cię ponaglali, powiedz,
żeby powściągnęli swą popędliwość
sądu i zemsty; może potrafiś sam
paść na kolana i z nich się dźwignąć

dobrze się rozejrzyj: Canossa jest w tobie,
nie w tych, którym języki zioną ogniem,
a ręce rwą się do miecza; czyń dobre uczynki,
stawiaj ciepłe domy ze słowa, zaprosz ich do siebie,
usiądną i spróbujcie razem białego *beaujolais*
pod czarną flagą epoki

Wspólna księga

*ludzi
jak zwykle nadmiar
podobnie jak wierszy
(Andrzej K. Waśkiewicz)*

a jednak jesteście wierszem

nieistniejącym,
napisanym,
czekającym na napisanie

tysiące stron

będziemy znowu cenzurowani,
darci, paleni na stosach;
pochłoną nas wilgoć
i trąba powietrzna czasu

w popiołach rozpadną się emocje,
anatemy i cały ból poezji

zostanie szelest ciszy,
zimna noc bez świtu,

wspólna księga
bez tekstu, której też nie będzie

Wybór

owszem, miałem wybór,
byłem wtedy świadomy i pełnoletni,
przeczytałem już sporo książek
i widziałem, co się dzieje

zawiodła busola

młodość jest wicherą,
strzałka busoli tańczy jak oszalała,
kiedy się uspokoi – cisza
i tylko kikuty połamanych drzew
podchodzą pod okno jak Las Birnam

statki na uspokojonej wodzie podnoszą żagle,
karawany ruszają dalej

i ja próbuję,
ale już o kulach

Wielbłąd

nie jestem w stanie udowodnić,
że nie jestem wielbłądem

jedni tego nie zauważają,
inni stają za kratami wybiegu
i wpatrują się we mnie z ekscytacją

szyczą,
rzucają patykami,
powtarzają w kółko: o! wielbłąd!

nie użalam się,
raczej myślę: co oni zrobiliby beze mnie,
jakby im mnie brakowało?

więc po to jestem

Transgresja

przesiąknąć, przeniknąć

ze Zła w Dobro, nigdy odwrotnie,
z ciemności w jasność, ze świata w świat,
wejść w lustro i powrócić innym

to jest możliwe,
ale czy pozwolą?

Strach

powoli podnoszę żaluzje,
ostrożnie otwieram drzwi, przez szparkę patrzę,
czy nikogo nie ma

a jeśli nagle wyrosną przede mną?
jeśli wbiją we mnie wzrok?
białe kaptury ich Ku Klux Klanu przypomną mi,
że jestem czarną owcą?

powłoką na plac, obnażą przed gawiedzią,
na plecach poczuję żar rozpalanego stosu?

co wtedy?

nic; nic nie robić, nie bronić się,
trzymać się resztek wiary
w rytuał zbrodni
i kary

wyzwolić ich z imperatywu zemsty,
siebie – ze strachu

przez rozsunięte żaluzje i uchylone drzwi
monitorować Sens własnej roli

Uciekają dni

w telewizji „dzień na żywo”

w drodze do pracy zginęło osiemnastu robotników,
w całym województwie pada deszcz,
zasypani chilijscy górnicy wyjechali na powierzchnię,
z jednej partii odchodzą ludzie, inną zakładają,
znany polityk miota się w swoim szaleństwie
jak król Eryk, Smoleńsk znowu okupują Polacy,
w Łodzi nowa ofiara, nad nią stare kupczenie śmiercią,
księża kochają dzieci, zabraniają *in vitro*,
cena paliw idzie w górę, dziennikarze przerzucają się
przed kamerami na łopatki,
idą kolejne opady,
idą nowe śniegi,
idą, a raczej uciekają dni...

kiedy Krzysztof Karasek pisał
swoje sławne *co ja tu robię*, zasiał we mnie pytanie,
lecz nie dał odpowiedzi

ale chyba nie robię nic;
patrzę w lustro i czuję mokry śnieg,
zaraz potem błoto, zaraz potem
piach

Wspinaczka

patrzę na socrealistów – mężnie
dźwignęli się z kolan, przeszli przez
niezłą „ścieżkę zdrowia”; dopełnili
wymogu ekspiacji i apostazji –
jedni z powodu nowej koniunktury (o tych nie mówmy),
inni w szczerej wierze w swój błąd
i sens przemiany

zawsze służyli Polsce, ale służyć jej dobrze
to trudna rzecz; komunały i entuzjazmy są
jak narkotyk lub wiry w trójkącie bermudzkim,
busola traci kierunek, łąpczywe palce szukają
bezpiecznego i sytego życia, z lustra znika prawda,
pojawia się maska cynizmu; ci, którzy nie zawahali się
jej założyć, byli słabi lub pozbawieni gruntu,
potem latami wysysali jad z heglowskiej rany,
myli ręce w miednicy Lady Macbeth, szli na niepewne
barykady, aby zmasać popełniony fałsz i tchórzostwo

chciałbym mieć tę szansę;
zrozumiałem to zbyt późno, ale historia
to zła nauczycielka – choć wielkimi literami wypisuje
na tablicy swoje reguły, jednak nie ona nas uczy,
raczej rozmowa z samym sobą w jakiś wrześnieowy wieczór,
gdy siedzisz na ganku, patrzysz w doliny własnego życia
i nagle widzisz, że z nich wstaje światło; to już ranek;
prostujesz zdrętwiałe nogi, obiecujesz sobie,
że właśnie tego dnia pójdziesz inną drogą
i nie dasz się zwieść szlakom najkrótszym,
tylko tym prowadzącym w strome góry,
z których można nie wrócić. ale zostać z z tarczą!

Mój patriotyzm

nie czuję się patriotą

straszy i śmieszy mnie sarmatyzm,
mam lepsze zdanie o Krzyżakach niż Sienkiewicz
i krytyczny stosunek do najazdu Naczelnika na Kijów,
wolę Wokulskiego od Konrada i Kordiana,
a generała Berlinga od Bora-Komorowskiego,
wciąż mam słabość do Broniewskiego
kolegowałem się z Żukrowskim, lubiłem czterech
pancernych,
nie podzielałem politycznych poglądów Herberta,
popierałem stan wojenny,
drukowałem lewicujące felietony w „Trybunie”,
Lecha Kaczyńskiego nadal uważam za złego prezydenta,
nie chodzę do kościoła i nigdy nie poszedłem
pod krzyż na Krakowskim Przedmieściu;
jakby nie było dosyć: kocham Gombrowicza

mam zaszargane papiery,
znaczna część rodaków to dla mnie kołtuneria,
ich bogoojczyźniane uniesienia są mi obce

wyemigrowałbym już dawno,
gdyby nie Norwid i Leśmian, zieleń Beskidu,
Pan Cogito i koty Rymkiewicza,
którego nie cierpię, skurcz gardła,
który zawsze czuję w Stawisku, wierzby
na Mazowszu, szum Dunajca, wiara księdza
Tischnera, zapach lasów wokół Tucholi,
filmy Wajdy, Malczewski, teksty
Kołakowskiego i ta perspektywa,
którą wypatrywałem z Giewontu, kiedy mgły
odslaniały czystą przestrzeń pejzażu i dziedzictwa

jestem persona non grata;
po mojej stronie barykady – zgłiszcza
wymarzonej Polski, we mnie
jasny płomień jej
rozdygotanej nadziei

Inkwizytorom

witajcie w piekle! nie spodziewałem się
was tu spotkać, a jednak zostaliście wybrani
do odsuwania kotary i trzymania lustra

nie wahajcie się – jestem po to, byście byli lepsi,
byście po moim truchle wspięli się wyżej; ktoś musi
wykonać brudną robotę, ja już się nie nadaję,
piszę sobie wiersze, czytam książki, oglądam ręce
pod światło i widzę stare blizny; wy musicie
stać na straży pamięci, rozdrapywać je, żeby płynęły
wisłą atramentu i krwi

ale mam żal... bardzo wam pomogłem,
stworzyłem waszą odwagę i niezłomność;
moglibyście przynajmniej poklepać mnie po ramieniu
i powiedzieć na ucho: musimy, to silniejsze od nas,
nie miej żalu, stary, twoja rola stawia nas ramię w ramię
przy Hamlecie, a każdy szczur przepędzony z domu
to więcej niż szekspirowskie brednie

Brednie polskie

nie dramatyzuj, nie szarp się;
ojczyzna Hamleta jest daleko,
przecież uciekałeś od niej świadomie,
goniły cię wojny, kolejne klony dyktatorów,
krwawe miazmaty historii, stygmaty narodowe,
kultowe daty, bolesne rocznice,
wznoszone pomniki, obalane cokoły,
stawiane mury, burzone granice,
kolejne rzeczpospolite,
kolejne rzeczchorowite...

potopiły się wandy i ofelie,
goplany, emilie, grażyny,
narodowe strzygi i oldyny

Wisła śmierdzi fenolem i gównem,
z narodowego kontusza wychyla się truchło,
z peruki sypie się talk stęchlizny,
błazny sprzedały kaduceusz i wystrugały nam
kostur

machnij na to wszystko ręką,
szukaj innej drogi, innego języka,
innej zasady

sarkazmuj, gombrowiczuj, witkacuj,
mironizuj; chowaj się po kątach,
ziemia cię przerasta,
ci, którzy biorą ją na barki,
łamią kręgosłup;
lepiej przykucnij pod liściem łopianu,
zaszyj się gdziekolwiek,
uniewidaczniaj,
znikomiej,
leśmianiej

Podróż do kresu nocy

Elżbiecie Bielskiej-Kajzer

rozmawialiśmy o Céline'ie

w tv rozszalała się burza – Polacy tuż po wojnie
rozgrzebywali ziemię Trebłinki w poszukiwaniu
skarbów Dawida; bóg wisiał ukrzyżowany
na dwóch trójkątach i jak zwykle przyglądał się niemo
ludzkiej duszy

ja zza ciemnych okularów, zasłaniający twarz
kołnierzem mrocznego czasu, myślałem o sobie;
z kresów nocy patrzyły na mnie oczy wilków,
wiewiórka hańby skakała po suchych gałązkach
spalonego lasu, świt podchodził do gardła
i tłukł się w zamkniętej klatce jak nietoperz

tajniacy podsuwali mi jakieś papiery; drę je od lat
na strzepy, ale poplamione palce krwawią do dziś

atramentem

czy mam prawo maczać w nim pióro?
czy mam obowiązek milczeć?

czy mam cokolwiek,
co uwolni i ocali świt?

Ambiwalencja

...nikt nie jest winny, chociaż jest winny
(Tomek Tryzna)

nie pisz swojego życia czarnym atramentem,
póki ono niewinne, przez Piekło nie wzięte

nie pisz swojego życia czerwonym inkaustem,
póki się nie zachłyśniesz skażonej krwi haustem

nie pisz żółcią ni solą, piołunem ni siarką,
dopóki stawiasz czoła i bronisz się hardo

kiedy poddasz się w końcu i staniesz się winny,
pielęgnuj antytezę, że byłeś niewinny

bo ziarno oraz otręb z jednego korzenia,
który dając nam życie, w marność je zamienia

Spis wierszy

Bazyliżek	3
Piekło	4
Tyczka	6
Rozmowa Jezusa z Judaszem	7
Judasz	9
Srebrniki	10
Nolens volens	11
Mech	12
Postać tragiczna	13
Leprozorium	14
Trakt, czyli ulica	15
Zdrajcy	16
Jest nas dwóch	17
Boję się wyjść z domu	18
Wybrani, naznaczeni	19
Hydra	20
Radovan Karadžić	21
Pomyłka Lady Macbeth	22
Cynizm	23
Prawda	24
Wina	25
Sumienie	26
Los	27
Pan Cogito	28
Naucz się wiązać pętlę	29

Morze Martwe	30
Szlam	31
Paplarium	32
Tabu	33
Spokój z duszą	34
Próżnia	36
Rozmowa z synem	37
Rzeka Styks	38
Brama	39
Koniec świata	40
Sztuka	42
Zbawienie Fausta	44
Na niby	46
Prawo	47
Miłość	48
Feniks	50
Wspólna księga	51
Wybór	52
Wielbłąd	53
Transgresja	54
Strach	55
Uciekają dni	56
Wspinaczka	57
Mój patriotyzm	59
Inkwizytorom	61
Brednie polskie	62
Podróż do kresu nocy	64
Ambiwalencja	65